

Jan Sęk

Fundacja Willa Polonia

Wypominki małopolskie

Słowo o karteluszkach

Zapiski te poczynione zostały głównie z myślą o utrwaleniu we własnej pamięci śladów po pasjach społecznikowskich serdecznego Kolegi, kulturoznawcy krakowskiego Stanisława Dziedzica. Rozległe wątki Jego aktywności czynią materię trudną już na etapie zdiagnozowania, nie mówiąc o próbie ich zsumowania. Z uwagi na zamieszkiwanie poza Krakowem o wielu z nich dowiadywałem się z mediów, względnie koleżeńskich relacji. Tak się jednak szczęśliwie również składało, że od czasu do czasu dane nam było wspólnie coś zaprogramować, a nawet zrealizować.

Wszystkie te przedsięwzięcia można oczywiście bez trudu usytuować na mapie czasu. Po latach daty i miejsca spotkań wspólnych zacierają się w pamięci, a wyrazistości nabierają refleksje, mające swe źródło w radości czerpanej z doznań artystycznych.

Wagi zdają się nabierać detale, żarty, krotochwilne dworowanie... Tymi intencjonalnymi uwagami skłaniam się uwolnić – może i skutecznie – od żmudnych, a dla mnie z natury trudnych pośmiertnych relacji.

Nie liczę więc, że będą one kolportowane na plantach lub rozdawane w krakowskich kruchtach, których płodny literacko Pan Dziedzic nie zdążył w trakcie ziemskiej wędrówki w pełni opisać. Będę więc dokładał starań, by utrzymać się w konwencji tradycyjnych wypominek poświęconych osobom świeckim. Były one od wieków rdzeniem chrześcijańskiej obrzędowości na terenie całej wspólnoty *christianitas*, do której przynależał i zmarły.

I. Pana nie kropił

Tym ocennym zwrotem, potocznym w Jego i moich stronach rodzinnych rozpoczynam te wspominki o swoim ziomku. Dla każdego ambitnego abiturienta szkoły średniej w Ziemi Rzeszowskiej zaszczytem, cenionym wielce, było podjęcie studiów w krakowskiej Alma Mater.

Takie marzenia udawało się zrealizować nielicznym. Dobrotliwi sąsiedzi kwitowali ten fakt najczęściej z życzliwym uznaniem. Ot, jeszcze jeden z nich potrafił wybić się na pana. Gdy zaś taki delikwent nieopacznie zapominał o stronach rodzinnych, kwitowali z ironicznym przekąsem: „kropi pana”.

Stanisław Dziedzic rodem ze wsi Dąbrowa, podczas studiów w Krakowie, a i później, pracując w tym mieście, nie zapomniał nigdy o swoim mateczniku i chłopskich korzeniach. Pobudował nawet w rodzinnym siole okazały dom, z myślą o spokojnej starości.

Na dodatek w lekko snobizującym się na wiele sposobów Krakowie, zapisał się do partii ludowej i reprezentował ją godnie do końca swoich ziemskich dni. Ta przynależność – a znam to dobrze z autopsji – nie przysparzała mu nigdy splendorów – tak u reprezentantów innych „postępowych” opcji politycznych, jak i u kawiarnianych potakiwaczy.

W tej materii mógł spodziewać się nawet dodatkowej serii uszczypliwości, z racji bardziej szlacheckiego niż chłopskiego nazwiska. Związany na dobre i złe z ruchem chłopskim, zawsze przecież mógł usłyszeć błahostkę, że los obdarzył go wręcz skokowym awansem, czyniąc detalicznie rzecz biorąc, dziedzicem z włościanina.

Takiego typu żarty nie mogły, rzecz jasna, nigdy przesłonić osobistych sukcesów Stanisława Dziedzica, tak w pracy zawodowej, jak i na niwie naukowej. Jego *curriculum vitae* posłużyć wręcz może za wzorcowy przykład postawy obywatelskiej, w złych i dobrych momentach dla kraju.

II. Lekcja salonowej pokory

Dla nader liczego środowiska animatorów kultury, pragnących w dużych ośrodkach miejskich podtrzymywać na przełomie XX i XXI wieku tradycyjne wartości dziedzictwa wiejskiego, istotną sprawą stało się przypominanie sylwetek zapomnianych liderów ruchu ludowego. Wszystkie bowiem opcje polityczne, szczycące się pracą organiczną pod sztandarem: „Żywią i bronią”, nie były w stanie wyjść poza przypominanie zasług Wincentego Witosa, Stanisława Mikołajczyka i co naj-

wyżej Macieja Rataja. Ten uwiad etosowy doskwierał młodszej generacji działaczy, zwłaszcza samorządowych. Dla nich adekwatne już było hasło: „Żywią, bronią i włodarzą”.

Wychodząc naprzeciw tym oczekiwaniom, Rada Senioralna Fundacji Karola E. Lewakowskiego, którą miałem zaszczyt reprezentować, wespół z jej pierwszym prezesem zarządu Witoldem Knychalskim, umyśliła ustanowić honorową nagrodę. Uznano zgodnie, że jej patronem winien być człowiek legenda: Włodzimierz Przerwa-Tetmajer.

Poczyniliśmy więc przygotowania do wydania reprintu Jego utworu oraz poprosiliśmy znawcę tematu Stanisława Dziedzica o napisanie stosownego eseju. Wydawało się nam naiwnie, że wybór projektu statuetki zwieńczy wstępne przygotowania organizacyjne. Tymczasem, jak to w Krakowie, zaczęły piętrzyć się trudności formalne, które trudno po latach nawet precyzyjnie wyliczyć.

W tym stanie rzeczy pozostało nam zaniechać pomysłu, względnie ambicjonalnie zachęcić Stanisława Dziedzica do rozwikłania podwawelskich zawłości. *Summa summarum* wszystko szczęśliwie się skończyło, łącznie z wyborem pierwszych laureatów i ich zgodą na przyjęcie wyróżnienia. Chcieliśmy bowiem bardzo, by pierwszymi nagrodzonymi laureatami zostali członkowie rodziny Włodzimierza Przerwy-Tetmajera, wnuczka Elżbieta Konstanty i jej mąż. Ich wielką zasługą było bowiem odnowienie legendarnej Tetmajerówki i ustawiczna troska o konserwację oraz pielęgnowanie artefaktów zachowanych po słynnym artyście i literacie. Ten choć światowiec, w głębi serca nigdy nie zniechęcił się do trwania w ustawicznej miłości do wsi i ruchu ludowego.

Podniosła uroczystość odbyła się na posesji państwa Konstanych. Na miejscu salonowego spotkania dotarło do mnie z opóźnieniem, że to dla mnie przewidziano rolę zagajenia i powitania obecnych. Mieszkając poza Krakowem bałem się, by nie uchybić kanonom lokalnej etykiety i dziękując za przybycie, nie popełnić jakiegoś lapsusu. Skoncentrowałem się więc na sylwetce patrona nagrody, zasługach laureatów i dość oszczędnie z imienia i nazwiska tudzież godności, powitałem lokalnych tuzów i celebrytów.

Kończąc zauważyłem, że Dyrektor Dziedzic szepce coś zatroskany do ucha swego serdecznego przyjaciela Tadeusza Skoczka. Ten, z racji ważnej funkcji w formacie stołecznym, był tam wszystkim doskonale znany i z atencją przyjmowany. Dziękując mi w serdecznych słowach za wystąpienie oraz uwypuklając jego istotne wątki, kontynuował jedno-

cześnie, jakby mimochodem, dalsze witanie obecnych tam profesorów, prezesów, literatów, emerytowanych oficjeli, aż doszedł do uhonorowania w ten sposób dokumentnie wszystkich. I w tym momencie oblicze Stanisława Dziedzica jakby pojaśniało.

Wówczas dotarło do mnie wreszcie, że Bronowice to też od dawna część Krakowa.

III. Pielenie fobii narodowych

Po latach, dzięki zauroczeniu kolejnym tematem Stanisława Dziedzica, ówczesnego sternika krakowskich spraw kulturalnych, udało mi się ponownie, wraz z wolontariuszami Fundacji Willa Polonia, powrócić do Bronowic, tym razem do mitycznej Rydlówki. Pragnęliśmy usilnie zaprezentować tam dzieło rzeźbiarza Wiesława Domańskiego *Sybille Europejskiej Solidarności*. Cykl rzeźb, miejscowego twórcy, pokazywany był uprzednio na wernisażu w Brukseli. W ten sposób uczczono tam półwiecze podpisania traktatu rzymskiego, początkującego realny proces zespolenia się państw europejskich w jedną wspólnotę.

Możliwość prezentacji w Muzeum Młodej Polski współczesnych ucieleśnień muz antycznych, wieszczących bieg spraw w obrysie starego kontynentu, jawiła się nam obiecująco, zwłaszcza, że jedną z rzeźb była Sybilla Cracovia. W zamyśle twórczym miała ona honorować przede wszystkim wysiłki papieża Jana Pawła II na rzecz wstąpienia Rzeczypospolitej do Unii Europejskiej.

Z przysłowiową łązką w oku wspominam fazę przygotowań do wystawy i jej oprawy w postaci minikoncertu kameralnego oraz monologów aktora.

Jak gromy na nieboskłonie zaczęły piętrzyć się problemy, od konieczności podrasowania wnętrza placówki muzealnej po koszenie wokół niej trawy. Złotousty Stasio Dziedzic, szermując sobie tylko znanymi argumentami, doprowadził całość przedsięwzięcia do szczęśliwego finału.

Pewne obawy towarzyszyły wyłącznie mnie, kiedy zobaczyłem wśród uczestników imprezy egzaltowaną aktorkę w finezyjnym nakryciu głowy, z małym ratlerkiem bez smyczy. Co będzie jak posłucha rady Pana Młodego z młodopolskiego dramatu i urealni jego słowa: „Jaki taki niech se szczeka”? Niepotrzebnie się jednak kłopotalem, piesek okazał się wytrawnym bywalcem. Siedział grzecznie pod krzesłem i wybiegał tylko na krótki czas brow, merdając przyjaźnie ogonem. Po czym znów ochoczo powracał na swoje miejsce.

Na użytek niniejszych wywodów, co nieco pokrętnych, przejrzałem jeszcze raz uważniej tekst proroczego, narodowego eposu. Nie dostrzegłem jednak, by jego twórca Stanisław Wyspiański widział nadmierną potrzebę pilnowania chłopskiej zagrody i biesiadujących w niej weselników przez sforę ujadających burków. Najlepszym przyjaciółom człowieka przypadła w nim rola marginalna i pejoratywna. Ważki dylemat tragedii narodowej, jakim była rzeź galicyjska i udział w niej chłopów, kwituje zwrotem... „to byli jacyś psi”.

Pisząc o tym, przeganiem płochą a natrętną myśl o symbolice obecności na naszej imprezie niespodziewanego gościa w postaci młodszego brata od św. Franciszka z Asyżu. Może brakiem obszczekiwania kolejnych jej sekwencji dopełniał jakoś obłąk narodowych fobii powracających do nas co jakiś czas.

IV. Tony: minorowe i majorowe

Ostatni rok XX wieku i pierwszy nowego stulecia był dla „Fundacji Paderewski in memoriam” okresem wyjątkowym. Patronat nad kolejnym, jedenastym już Festiwałem, objął bowiem Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej Aleksander Kwaśniewski, a honorowemu komitetowi zgodził się przewodniczyć prymas Polski kardynał Józef Glemp.

Szarża musi mieć zaplecze, więc jeden z koncertów zdecydowano się zorganizować w Krakowie i to w Collegium Novum Uniwersytetu Jagiellońskiego. Zaczęło się minorowo, bo w terminie uzgodnionym z uczelnią trudno było zabezpieczyć światowego formatu artystę. Uratowała nas sławna śpiewaczka Stefania Toczyska, która wraz z renomowanym pianistą Jeffem Cohem, nagrała uprzednio pod auspicjami Fundacji płytę z pieśniami Ignacego Jana Paderewskiego. Jury Akademii Fonograficznej nominowało ją do nagrody Fryderyki 2000 w kategorii Album Roku – Muzyka Wokalna.

Taka propozycja została rzecz jasna więcej jak przychylnie przyjęta przez akademickich współorganizatorów. Po szybko uszczegółowionych detalach, pozostało oczekiwanie na niecodzienne wydarzenie. Błogostan przerwał telefon od wytrawnego bywalca, który monitował do stolicy, informując mnie w konfidencji, że zawsze otrzymywał zaproszenie na tego typu imprezy ze znacznym wyprzedzeniem, a tym razem to się nieprzyzwoicie opóźnia. Uchyliłem się od interwencji, tłumacząc że za wszystkie sprawy organizacyjne odpowiadają partnerzy z uczelni.

Byłem przy tym raczej spokojny, bo nad całością czuwał człowiek-orkiestra Stanisław Dziedzic.

Na wszelki wypadek zadzwoniłem jednak do Przyjaciela i dyplomatycznie zacząłem rozmowę od dywagacji związanych z wypełnieniem dużych sal wykładowych podczas organizowania w nich koncertów muzyki klasycznej. Nie omieszkalem też dodać, że w takich wypadkach dobrze jest doprosić grupkę żelaznych bywalców, w celu wypełnienia tzw. łysin. Lotny intelektualnie Dziedzic nie dał się wywieść w przysłowiowe galicyjskie pole i z taktem, zręcznie ripostował. W naszej Alma Mater nie trzeba nikogo mobilizować i dodatkowymi karteluszkami dopraszać nawet ważkich figur z rejonów Plant. Zrozumiałem, że w Krakowie kiedy Magnificencja prosi, nie ma potrzeby niepokoić się o frekwencję. I tak też się stało. Koncert był więcej jak w majorowej tonacji, wzbogacono go nawet o wystawę rękopisów i druków ulotnych związanych z wydarzeniem a przechowywanych w bibliotece uczelnianej. Całość zamknęło okolicznościowe spotkanie w saloniku rektorskim, który zdobił piękny portret – Ignacego Jana Paderewskiego.

V. Pod patronackim parasolem

Przed kolejną znaczącą rocznicą kanonizacji Stanisława Biskupa, najważniejszego patrona Polski, uświadomiłem sobie, że błogostan relacji wzajemnych między władzą świecką a hierarchią kościelną, nawet w nowej rzeczywistości III Rzeczypospolitej nie musi być usłany różami. Nigdy przecież za dużo przypominania newralgicznych napięć, które miały miejsce w naszych dziejach jako swoiste *memento*. Doceniając rangę wrażliwego tematu, dr Tadeusz Doroszuk, ówczesny dyrektor oddziału Telewizji Polskiej w Lublinie, przyklasnął inicjatywie i powierzył jej realizację wytrawnej reżyser Natalii Ziółkowskiej-Kurczuk.

Prawdę mówiąc zdaje się, że najistotniejszy był jednak wątek lubelski. Święty Stanisław jako patron diecezji krakowskiej, otaczał bowiem opieką przez stulecia także jej wschodnie krańce, czyli Ziemię Lubelską. Po roku zaś 1805, w którym to erygowano diecezję lubelską – na prawach sukcesji – stał się automatycznie także jednym z jej patronów. Na Lubelszczyźnie funkcjonowała również historyczna parafia w Piotrawinie, też powiązany organicznie z legendą o św. Stanisławie. Tam bowiem miał powstać z grobu koronny świadek, zaświadczaający że Biskup Stanisław nabył legalnie nieruchomości ziemską i uiścił za nią stosowną zapłatę.

O tym iście niezemskim epizodzie – cudzie wręcz, w sposób intrygujący napomknął nawet Jan Kochanowski w poemacie *Szachy*. Ponadto w samym sercu grodu nad Bystrzycą, ojcowie dominikanie pobudowali sanktuarium pw. św. Krzyża i klasztor, któremu patronuje św. Stanisław.

Temat przewodni etiudy filmowej jawił się w modrych barwach, gorzej było z jej scenariuszem. Wiedziałem jednak, że mogę liczyć na wydatną pomoc Stanisława Dziedzica, erudyty w zakresie cnót i dokonań wszystkich świętych małopolskich.

I nie zawiodłem się nawet o jotę. Przekaz ekranowy o św. Stanisławie ze Szczepanowa, podbudowany wątkami z poematu *Stanisław* Karola Wojtyły, jak i bogatą ikonografią spotkał się z przychylnym odbiorem widzów. Troska Stanisława Dziedzica o rzetelność merytoryczną, o pokazanie we właściwym wymiarze miejsc związanych z kultem – bądź co bądź i Jego patrona – budziła podziw nie tylko mój, ale całej ekipy filmowej. Taka postawa przy realizacji dzieła przyczyniła się do tego, że bez oporów zgodzili się w nim uczestniczyć jako narratorzy: kardynał Franciszek Macharski oraz obecny władca archidiecezji łódzkiej arcybiskup Grzegorz Ryś czy rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego prof. Franciszek Ziejka.

Upływ czasu nie wymazał szczęśliwie z mojej pamięci śladów duchowych doznań z okresu pracy nad filmem *Święty Stanisław*, co pozostaje niewątpliwą zasługą jego konsultanta merytorycznego o renesansowych horyzontach tej rangi, co Stanisław Dziedzic.

Epilog morowego smutku

Plaga na miarę całego pokolenia w postaci nieznannej uprzednio choroby zakaźnej pojawiła się jak kometa, siejąca niepokój i spustoszenie wśród społeczeństw wielu państw. W średniowieczu taki bieg rzeczy określano najczęściej mianem morowego powietrza. Pojawiła się zniecka i na ziemiach polskich, nie oszczędzając rzecz jasna również metropolitarnego Krakowa.

Obecna pandemia, oznaczona symbolem covid-19, dokonała wręcz apokaliptycznego spustoszenia. Pod Wawelem wśród wielu ofiar ze sfery kultury i nauki, znalazł się niespodziewanie i Stanisław Dziedzic. Zaraza zakłóciła gwałtownie rytm jego codziennych zajęć i pisarskiej aktywności. Krótco przed tym armagedonem szczęśliwie spotkaliśmy się jeszcze. Tak się bowiem zrzędzeniem losu złożyło, że rok przed śmiercią zawitał do Koźlego Grodu nad Bystrzycą. Przyjechał, by być obecnym

na wernisażu Janusza Jutrzenki Trzebiatowskiego. Motywem przewodnim wystawy, mającej miejsce w Salonie Artystycznym *Umbilicus urbis* Fundacji Willa Polonia, była architektura sanktuariów kościelnych w Armenii. Trzeba tutaj zaznaczyć, że Jego spontaniczne wystąpienie spotkało się z największym zainteresowaniem, wręcz swoistą estymą obecnych. Bez zapisków i z werwą mówił o dorobku artystycznym twórcy prezentowanych płócien, subtelnościach malarstwa sztalugowego oraz o narodzie ormiańskim z jego przywiązaniem do wiary chrześcijańskiej i nieznaney u nas narodowej tradycji wnoszenia chaczkarów. Nie poprzestał na tym i napisał jeszcze siłą rozpędu dwie obszernie recenzje do czasopism kulturalnych w Krakowie i Lublinie. Ta lubelska ma dla mnie szczególne znaczenie, ponieważ została zamieszczona w setnym, jubileuszowym numerze periodyku „Lublin”.

Nieustannie oszołomiony nagłą i niespodziewaną śmiercią Przyjaciela, powracam myślami do tematyki pogaduszek telefonicznych z ostatnich tygodni i miesięcy ją poprzedzających.

Poczesne miejsce zajmowały w nich zwykle Kresy, postrzegane w obrysie ziem zabranych I Rzeczypospolitej. Mój uczony interlokutor o bezkresnej skali wiedzy w tej materii, pasjonował się zwłaszcza koniecznością dokumentowania pozostałych tam jeszcze artefaktów oraz losami polskich księży, pełniących posługę duszpasterską, zwłaszcza w latach bezlitosnego terroru i tępienia religii przez władze komunistyczne.

Kilkakrotnie powracaliśmy do tragicznych losów sanktuarium w Podkamieniu czy historii klasztoru w Berdyczowie, zwłaszcza rodu Tyszkiewiczów jako jego fundatorów. Na te i inne bliskie Jego sercu zabużańskie tematy napisał szereg interesujących artykułów i opublikował większość z nich w renomowanych pismach naukowych: kwartalniku „Niepodległość i Pamięć” oraz „Roczniku Kresowym”. Zachęcał mnie też stale do poszukiwania nowych form aktywności, po ustaniu zarazy, przez Akademię Historii i Literatury Polskiej i Słowiańskiej. Został bowiem niedawno członkiem tej towarzyskiej konfraterni. Cenił sobie wielce, że przypadło mu, jako poloniście z wykształcenia, miejsce po zmarłym pisarzu i profesorze literatury pięknej Jerzym Pietrkiewicz z Londynu.

Nic nie zapowiadało tragedii, nie ogarniała mnie żadna nutka niepokoju, nawet wówczas kiedy informował z lekka poirytowany, że musi z powodu chronicznego przeziębienia położyć się na kilka dni do szpitala.

Potem dzwoniłem jeszcze, by umówić się na dłuższą pogawędkę kiedy harmonogram zabiegów lekarskich na to pozwoli. Wiodącym tema-

tem miała być tym razem sesja naukowa poświęcona zmartwychwstańcom, zwłaszcza aktywności członków tego zakonu w Rzymie i wśród Słowian.

Teraz jednak pozostało mi już Cię tylko pożegnać, w imieniu społecznej Rady Muzeum Niepodległości w Warszawie, której obaj byliśmy członkami z terenu historycznej Małopolski. Stwarzała nam ona dobre forum do okazjonalnych spotkań.

Z nadzieją zobaczenia się w zaświatach kończę intencją:

Wieczny odpoczynek
racz otrzymać
bo na ziemski
nie miałeś czasu!

Jan Sęk